

Paweł Rzewuski: Horror na wesołych bagniskach – cóż po dworze kresowym?

W jaki sposób odnosić się do mitu dworku ziemiańskiego? Jako konserwatyści żyjemy w przekonaniu, że musimy uznawać tradycję bezkrytycznie. I tutaj warto się pochylić nad własną tożsamością i zapytać się, czy się jest bardziej konserwatystą czy tradycjonalistą? – w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Polskie bóle fantomowe”

Kresy II Rzeczypospolitej to temat, który cały czas jest trudny dla Polaków. Z jednej strony są dla nas punktem odniesienia, z drugiej nie chce się wsłuchać w ich faktyczną historię.

*W III Rzeczypospolitej
zwyciężyła narracja idylliczna,
w której kresy są źródłem
wszystkiego, co najlepsze w
polskiej tradycji*

Kiedy Polska utraciła swoje wschodnie rubieże w pamięci pojawiły się dwie różne narracje. Pierwsza tworzona przez autorów, którzy pozostali w

kraju i do dawnych rubieży Rzeczypospolitej odnosili się z dystansem. Druga obecna wśród emigrantów, gdzie polesie zyskało miano Arkadii, a opowieści o nim były głównie idylliczne.

W III Rzeczypospolitej zwyciężyła narracja idylliczna, w której kresy są źródłem wszystkiego, co najlepsze w polskiej tradycji. Do dziś można bez problemu kupić chleby kresowe czy inne „wywodzące się” z dawnych ziem dobra, które przez sam fakt pochodzenia są uznawane za lepsze. Nie jest to zresztą nic niezwykłego, podobne przekonania żywią Węgrzy, Niemcy i Finowie. Dla nich też ziemie utracone były „rdzennymi”, z których wywodzili się najlepsi przedstawiciele narodu. Przy czym kresowość nie oznacza tutaj kultury Kresów, a kulturę Polską na Kresach. Oznacza to, że powszechnym zainteresowaniem cieszy się historia wszystkich narodów ją zamieszkujących, ale tylko Polaków, co czyni ją samą z siebie niepełną, a sam temat kresów nieprzepracowany.

Co jakiś czas mit wspaniałych Kresów próbowano nad Wisłą obalić. W latach 90. jednym z silniejszych i bardziej bulwersujących głosów był serial *Boża podszewka*, w którym przedstawiono zgoła nieidylliczne życie w kresowym dworku. Podobnie przerażający obraz przedstawiał film *Horror na wesołych bagniskach*, będący zresztą ekranizacją powieści z 1934 roku, *Skandal w Wesołych Bagniskach*. W obydwu filmach kresy były raczej przerażającym miejscem.

Dwory ziemiańskie są wręcz przestrzenią mityczną, osadzoną w idyllicznym obrazie. Kresy to arkadia, zaś polskie dwory, to siedliska kultury i polskości. Czy tak było faktycznie i czy nie jest to jedynie pobożny konstrukt wyobraźniowy? Mit dworku kresowego wpisuje się w szersze idolatrium, jakim jest tradycja szlachecka. Dla Polaków stała się – co bardzo szczegółowo udowodnili Smoczyński i Zarycki w *Totemie inteligenckim* – naturalnym punktem odniesienia w myśleniu o tradycji i patriotyzmie.

Kresy to arkadia, zaś polskie dwory, to siedliska kultury i polskości. Czy tak było faktycznie i czy nie jest to jedynie pobożny konstrukt wyobrażeniowy?

**Dzikie kresy,
bardzo dzikie**

Faktem jest, że kresy II Rzeczypospolitej należały do terenów dzikich. Nie bez kozery minister Beck stwierdził, że polskie

kolonie zaczynają się za Rembertowem. Może było w tym dużo przesady, ale na pewno świat za Bugiem był zupełnie inny niż nawet ten znany ze Lwowa czy z Wilna.

I tu pojawia się pytanie: „Co to właściwie są Kresy?” Otóż jednych kresów w ogóle nie było. Między Wilnem i jego okolicami a Polesiem i Ukrainą była przepaść. Inne problemy, inny poziom cywilizacyjny, inna świadomość. O ile Litwa była po prostu częścią Polski, gdzie mniejszości etniczne faktycznie stanowiło mniejszość, a nie większość jak w przypadku Polesia. Litwa, okolice Wilna były zatem znacznie bardziej związane z „macierzą”. Dwory ziemiańskie nie były tam czymś wyjątkowym (wyłamującym się z krajobrazu kulturowego), ale czymś naturalnym. Gdyby myśląc o kresowych dworach ziemiańskich miało się na myśli tylko ten z Wileńszczyzny i Kowieńszczyzna sprawa byłaby znacznie prostsza. Tam faktycznie często obecne były rozwinięte, dobrze prosperujące dwory ziemiańskie stanowiące wzór.

Bo co innego Wilno i jego okolice, a co innego Polesie, czy Ukraina. Tereny te stanowiły faktycznie zupełnie inny świat. Po pierwsze Polacy byli tam de facto obcym element. Dwory były wyspami polskości, otoczonymi wrogą kulturą. Po drugie były to tereny całkowicie zacofane.. Polesie, tereny dzisiejszej Białorusi, stanowiły najbardziej zapóźnione tereny w całej cywilizowanej Europie. Na zastraszający poziom analfabetyzmu, społecznego zacofania zwracali uwagę przedwojenni autorzy i komentatorzy. O szlachcie zagrodowej w rejonie wołyńsko-poleskim pisano wprost: „Nieliczna ta grupa, jako szlachta, nie wywiera prawie żadnego wpływu na życie Wołynia i Podola. [...] I na Wołyniu i na Podolu większość szlachty przyjęła greko-katolicyzm lub prawosławie – przyjęła też narodowość rosyjską lub ukraińską”. Owszem kresowe dwory były wyspami kultury ale była ona zacofana w stosunku do centralnej Polski.

*Na terenie województwa
wołyńskiego i
stanisławowskiego cały czas
dochodziło do rozruchów*

Do tego, o czym się
chętnie zapomina,
kresy wschodnie
należały po prostu
do terenów
niebezpiecznych.
Rzeź wołyńska nie

wzięła się znikąd. Na terenie województwa wołyńskiego i stanisławowskiego cały czas dochodziło do rozruchów. Województwo polskie wcale nie było bezpieczniejsze. W roku 1923 doszło do prawie stu ataków na „amerykanów”, czyli polskich osadników. W 1924 roku doszło zaś do trzech większych ataków w Stołpcach, Łowiczą i Leśną. Ba, gdyby nie powstanie Korpusu Ochrony Pogranicza niewykluczone, że planowane przez Komunistyczną Partię Zachodniej Białorusi powstanie mogłoby wybuchnąć. Kresy, szczególnie Polesie, były

obszarem walki między komunistyczną Rosją, a Rzeczpospolitą. Dwory ziemiańskie znajdowały się w środku tego konfliktu i stawały się jego zarzewiem. Były często symbolem polskiej buty i pogardy w stosunku do mniejszości.

Dwór polski – dwór obcy

Jak w tym wszystkim odnajdywał się polski dwór? Należy powiedzieć, że różnorako. Po pierwsze ilość różnego rodzaju dworów i pałaców na kresach wschodnich jest bardzo duża. Faktem jest, że praktycznie wszystkie zabytki to pozostałości polskiej obecności. Wymieniając tylko kilka: monumentalny pałac w Pińsku Butrymowiczów, zespół ogrodów Sofiówki z Humania czy Zamek w Podohrocach. Nie ma co się łudzić – do pewnego stopnia stosunek polskiej szlachty do ziem wschodnich był stosunkiem kolonialistów do kolonizowanych ziem i chociaż nie był tak bezwzględny, jak u Brytyjczyków w Indiach, to na pewno zupełnie łaskawy nie był.

Mowa tu jednak o wielkich dworach, pałacach, ale co z tymi mniejszymi dworkami rozszanymi po całej Ukrainie i Białorusi? Sprawa jest więcej niż trudna. Po pierwsze faktem jest, że ziemiaństwo w latach II Rzeczpospolitej zaczynało przechodzić kryzys. Źle reagowało na zmieniającą się ekonomiczną koniunkturę, stawało się czymś anachronicznym. Ziemiaństwo przędło coraz ciężiej, co dobrze zostało ostatnio oddane w *Czasie ziemiaństwa*, wydanym przez ośrodek Karta. I tak jeden z ziemian notował: „Mysłów nie miał dla mnie tajemnic, znałem go jak własną kieszeń, sprawy rolne również nie były mi obce, ale nie orientowałem się w finansach. Wiedziałem, że sytuacja jest trudna – stałe kłopoty ze splątami rat Towarzystwa Kredytowego

Ziemskiego – ale że dotychczas nie miałem z tym kontaktu, a trudności i kłopoty były powszechne, tłumaczyłem je ogólnym kryzysem gospodarczym”.

Ziemiaństwu było coraz trudniej utrzymać dawny poziom ekonomiczny. Świat się zmienił, a oni nie zawsze w pełni zdawali sobie z tego sprawę. W prasie z okresu dwudziestolecia międzywojennego co i rusz można było zobaczyć informacje o licytacji majątków. Często było to wynikiem powszechnej wśród tej grupy niegospodarności i nieumiejętności odnalezienia się w nowych realiach.

W dworach bardzo często triumf świeciły kategorie feudalne sprzeczne z dominującymi ideałami, które przyświecały najprężniejszym ruchom intelektualnym II Rzeczypospolitej

Jednocześnie ta cześć ziemiaństwa dobrze znosiła kryzys ekonomiczny, mentalnie była odseparowana od reszty społeczeństwa. Podobnie jak cała I Rzeczypospolita

kojarzyło się ambiwalentnie i znajdowało się w ogniu krytyki zarówno z prawej, jak i lewej strony sceny politycznej. Było ostoją konserwatyizmu, a zatem przeciwieństwem modernizmu. W dworach bardzo często triumf świeciły kategorie feudalne sprzeczne z dominującymi ideałami, które przyświecały najprężniejszym ruchom intelektualnym II Rzeczypospolitej (od prawicy po lewicę). W przypadku części z nich czuć było olbrzymi dystans do rzeszy społeczeństwa zarówno kulturalny, jak ekonomiczny: „Europejskim” zjedliśmy łososia, perliczkę, zapili ulubionym Château Margaux; było sporo ludzi, nastrój

wesoły. Cenek [Celestyn Kański] opowiadał, że – niczego się nie spodziewając – wyprysnął w południe z paru kolegami fiatem za miasto. Na ulicy czekał na niego woźny, że płk [Bronisław] Rakowski [dowódca 12 Pułku Ułanów Podolskich] go wzywał [...]. [Rakowski] łagodnie urągał: „Gdzie pan się podziewa, gdy pan jest potrzebny? Ma się pan co rychlej meldować w Toruniu u gen. Bortnowskiego” – notował w 1939 roku jeden przedstawiciel elit ziemiańskich. Dodać należy, że tylko jedna potrawa z wymienionych kosztowała tyle, że przeciętny mieszkaniec polesia mógł tylko pomarzyć o niej.

Przedwojenny dwór Polski albo był biedny, albo był niebotycznie bogaty, tak, że nie czuł się tożsamy z resztą społeczeństwa. I w tym tkwi cały problem. Z tradycji przedwojennej Polski chce się brać wszystko bezkrytycznie, nie czując istniejącego napięcia. Ziemiaństwo było już przed wojną traktowane jako relik. Przez wielu cenione, ale przez jeszcze większą liczbę krytykowane. Na kresach stanowiło wręcz swoistego rodzaju przeszkodę dla planów zagospodarowania kresów. Żyli cały czas w starym wyobrażeniu, w którym byli panami na włościach, którym w rzeczywistości wcale nie zależało na emancypacji pozostałych mieszkańców.

I w tym tkwi cały problem. Z tradycji przedwojennej Polski chce się brać wszystko bezkrytycznie, nie czując istniejącego napięcia

Anachroniczność, nieprzystawalność ziemiaństwa do nowych realiów była przed wojną wskazywana coraz częściej jako problem. Na

Gombrowicza patrzy się przez pryzmat PRL jako wgardziciela polskiej

tradycji, ale przecież *Ferdydurke* pisał jeszcze przed wojną. I nie był w krytyce formy wiejskiej osamotniony. Można ją znaleźć i u Witkacego, który pomimo swojego konserwatyzmu krytykował wiejskość jako osobną klasę chociażby w *Janie Macieju Karolu Wścieklicy*, i u popularnego autora, jakim był Dołęga-Mostowicz, chociażby w *Pamiętniku pani Hanki* czy w *Złotej Masce*.

Niestety, ale większość polskich kresowych dworów wyglądała tak, jak pokazała *Boża podszewka*. Oczywiście były wśród nich chlubne wyjątki, jak gospodarstwo Pileckich, ale było ich mniej i nie ma się czemu dziwić. Kresy, szczególnie Polesia, rozwijały się w izolacji, głównie ze względu na tragiczną wręcz komunikację z innymi regionami. Szlachta żyjąca na bagnach żywała się dawnymi epokami i ich kategoriami. I nie były to kategorie myślenia konstytucji 3 maja, ale czasów saskich. Z nowoczesnego świata brali to, co było dla nich wygodne, co pasowało do ich schematu postrzegania i nawet Piłsudski się w nich nie mieścił.

Między dworem a mieszkańcami Kresów panowało ciągłe napięcie. Nie przypadkiem do tej pory dla Ukraińców Polacy to „Lachy-Pany”, pełni buty i pogardy. Dwór często był faktycznie wyspą polskości, ale wyspą będącą raczej twierdzą, niechętnie nastawioną do obcych.

I czy polski?

Problem, na ile szlachta i dwór pozostaje polski podnoszono już w czasie II Rzeczypospolitej. O ile w przypadku wiejskości sprawa była jasna, było ono jednoznacznie polskie, do tego skrajnie zachowawcze, o tyle ze szlachtą zagrodową było już inaczej. W 1939 roku wydano

„Kalendarz Szlachty Zagrodowej” skierowany właśnie do dawnych potomków szlachty, tych najbiedniejszych, którzy tracili już własną tożsamość. O samej organizacji można było przeczytać: „Ku większej chwale Rzeczypospolitej Polskiej, która wspólnym wysiłkiem wszystkich obywateli na szczyty potęgi wychodzi – dla nawiązania do świetnych dziewięciowiekowych dziejów Narodu, który orężem na kartach historii wielkość swą zapisuje – dla odnowienia świetności kresowego rycerstwa polskiego, które przy mieczu i pługu na kresach Pospolitej Rzeczy wierną straż pełniło – dla nawiązania szlacheckich tradycji rycerskich do obowiązków obywateli wobec wskrzeszonego Państwa Polskiego tworzy się Związek Szlachty Zagrodowej”. Faktem jest jednak, że była to raczej projekcja niż analiza stanu rzeczy, bo szlachta zagrodowa i tak już straciła swoją świadomość, a ekonomicznie nigdy nie miała szans na awans.

Mit pozostaje mitem, jest pełen gloryfikacji i upiększania rzeczywistości. Prawdą jest jednak, że ziemiaństwo jako osobna grupa społeczna jest już bytem nieistniejącym. Proces ten został przypieczętowany przez wydarzenia II wojny światowej i czasy PRL, ale rozpoczął się już w trakcie dwudziestolecia międzywojennego.

Pytanie zatem, w jaki sposób odnosić się do mitu dworku ziemiańskiego? Jako konserwatyści żyjemy w przekonaniu, że musimy uznawać tradycję bezkrytycznie. I tutaj warto się pochylić nad własną tożsamością i zapytać się, czy się jest bardziej konserwatystą czy tradycjonalistą? Ci drudzy na pewno będą próbowali szukać siebie właśnie w kresowości, konserwatyści powinni zaś patrzeć inaczej. Odrzucać to, co mamy i raczej przyjąć stanowisko sanacji, która korzystała z tradycji szlacheckiej instrumentalnie, ograniczając się tylko do niektórych elementów i zarazem sięgać po inne wzorce. W

przypadku szlachty kresowej warto zapytać, co właściwie odwoływaniem się do ich tradycji chce osiągnąć, bo jeżeli model patriotyzmu, to będzie to trudne, bowiem już w czasach II Rzeczypospolitej był on anachroniczny.